

## Cień nadziei

Zapadły niedawno zmierzch okrył widoczny przez okna las ponurym płaszczem ciemności, który kontrastował z trzaskającym wesoło ogniem w kącie obskurnego zajazdu. Siedzący z dala od miejscowych mężczyzna odstawił z trzaskiem pusty już niemal kufel i rozejrzał się bez zainteresowania po zapełniającej się gośćmi karczmie.

Kolejny dzień podróży, kolejna byle jaka miścina i kolejni ludzie niemający pojęcia, że wystarczy chwila, by ich życie się zmieniło. *Żalotne*, pomyślał.

Młoda szynkarka, o związanych w warkocz ciemnych włosach i sięgającej ziemi sukni, uśmiechnęła się ciepło do grupy nowoprzybyłych drwali, a przechodząc koło stołu mężczyzny złapała za stojący na nim kufel. Chwyciwszy gwałtownie jej drobny nadgarstek, zerknął na dziewczynę bystrymi oczami spod szerokiego ronda kapelusza.

- Jeszcze nie dopiłem. – mruknął, chowając rękę i naciągając na nią rękaw podróżnej peleryny. *Może nie zauważyła*, pomyślał bez przekonania, patrząc na swoją dłoń, na której mimo okrycia wciąż widział tatuaż w kształcie wagi.

Oczy karczmarki otworzyły się szeroko, a jej okrągłe policzki natychmiast zapłonęły czerwienią. *Oczywiście, że zauważyła*, pokręcił głową, przeklinając swoją nieostrożność.

- Jesteś, panie... Jesteś ze Zgromadzenia Adimet, prawda? – szepnęła.

Rozmowy wokół nich ucichły, a mężczyzna westchnął, gdy wzrok wszystkich mieszkańców skupił się na nim. Kątem oka zauważył, że niektórzy sięgnęli po broń.

- Byłem. – odparł, poprawiając kapelusz i odsłaniając pokrytą kilkudniowym zarostem szczękę. – Nie przestałem być jednak wierny naszej misji.

- Opowiedz, opowiedz! – zawołała mała dziewczynka, która wyrwała się z ramion przerażonej matki siedzącej nieopodal. – Czy naprawdę żyją tam tylko prawi i sprawiedliwi?

- Żyli. – poprawił ją machinalnie. – Nic już nie jest tam takie, jakie było.

- Ruth, nie dotykaj go! – krzyknęła matka dziewczynki, w panice dopadając ramion córki i cofając się z nią pod ścianę. – Zaraza!

- Wyszedłem z epidemii cało, pani. – powiedział, a jego wzrok zmroził kobietę, która kurczowo przyciskała do siebie dziecko. – Jednak... nie będę ukrywał. Ona wciąż trwa.

- Jak to? – zapytała cicho szynkarka, kładąc sobie dłonie na sercu. – Myślałam... Mielicie być strażnikami. Chronić nas wszystkich.

Uzbrojeni mężczyźni wstali powoli, trzymając w dłoniach noże czy topory. *Nie mam dziś na to siły*, westchnął w duchu.

- Opowiem wam. – powiedział, wyprostowując się i sięgając po fajkę, którą zaczął nabijać suszem. – Widzę, że z dalekiej północy dotarły tu jedynie plotki czy niedomówienia, a jest to... niepowetowana strata. – zapalił tytoń, równocześnie obserwując wrogo nastawionych miejscowych. Uśmiechnął się lekko, gdy ich ciekawość przeważała nad strachem i agresją.

- Moje Zgromadzenie od półwiecza ma jedną misję. Nauczać tych, którzy tylko są wystarczająco uparci, by dotrzeć do końca. Walka z bezprawiem i kształtowanie poczucia sprawiedliwości, dziesiątki godzin spędzonych na studiowaniu historii i teraźniejszości tak, aby nie popełniać błędów zamierzonych czasów. – wydmuchał tworzący fantazyjne kształty dym, rozkoszując się skupioną na sobie uwadze. Nie zdawał sobie sprawy jak bardzo brakowało mu monologów i dysput, które były jego codziennością podczas pobierania nauk.

- Spędziłem wiele długich lat będąc prowadzonym przez jedne z najbardziej oświeconych umysłów współczesnego świata. Nikt jednak nie przewidział wschodniej zarazy, która brutalnie przeszkodziła nam w dalszych badaniach. Rozdzieleni z przyjaciółmi, odseparowani od nauczycieli. Jedyne co nam pozostało to księgi i nadzieja, że kiedyś wszystko wróci do normy.

- Powiedziałeś, panie... - zaczęła szynkarka, drżąc pod spojrzeniem nieznanego. – Powiedziałeś, że zaraza wciąż trwa. Jak zatem dokończyłeś nauki?

- Byliśmy bardziej zmotywowani do poszukiwania wiedzy niż do strachu przed czymś, na co wpływu nie mamy. Nasi mistrzowie wciąż prowadzili nas ku światłości, dbając jednak, by ograniczyć ryzyko zarażenia. Świeże powietrze, duże odstępy. – kącik ust zadrżał mu w rozbawieniu, gdy przypomniał sobie zdarte gardła żaków, krzyczących do siebie z odległości kilkunastu metrów. *Ewald, Klaus, Nora...*, nawet w myślach jej imię wywoływało ból, *gdzie jesteście?* – Jednak nie zdało się to na zbyt wiele.

- Ilu przetrwało ten koszmar? – zapytała kobieta, wciąż tuląc do siebie wpatrującą się w mężczyźną córkę.

- O dziwo, większość. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. – wypił resztę znajdującego się w kuflu, wygazowanego już trunku i skrzywił się malowniczo. – Zapanował swego rodzaju chaos, niektórzy wariowali zamknięci sam na sam jedynie ze swoimi księgami. Zgromadzenie stało się słabsze, a wówczas ku władzy sięgnęli ci, którzy nasze nauki traktują jak czcze mrzonki. – trzask trzymanej przez niego fajki wyrwał wszystkich z hipnotycznego transu opowieści mężczyzny, który ze zdziwieniem spojrzął na odłamany ustnik. – Wielu uciekło, a opornych szykanowano jako niedbających o wspólne dobro.

- Ty pewnie uciekłeś z podkulonym ogonem, co? – zakrzyknął wrogo brodaty drwal o zniszczonej wiatrem i mrozem twarzy. – Nie wyglądasz na takiego, co potrafi walczyć.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

- Rozumiem, że to ze względu na mój wiek. Młody, myślicie. Niesforny i zapewne nieprzywykły do podróży czy trudów. – wrzucił resztki fajki do pustego już kufla, powoli wodząc wzrokiem po twarzach mieszkańców. – Zgromadzenie dało mi to, czego poszukiwałem. Cel, mentora, przyjaciół... - jego głos załamał się lekko, co ukrył pod udawanym chrząknięciem. – Epidemia zabrała mi wszystko, nie pytając o pragnienia czy lęki. Walczyłem. – spojrzął twardo na drwala. – Wszyscy walczyliśmy. Ale dopóki nie znajdziemy leku... Mój dom jest stracony.

- Mamo, mamó, śnieg pada! – zakrzyknęła mała Ruth, podskakując, by zobaczyć wirujące za oknem białe płatki.

Atmosfera w karczmie zelżała, gdy mieszkańcy powoli wracali do swoich rozmów, ignorując siedzącego w czerni mężczyznę. *Może to i lepiej, pomyślał, nie chciałbym skazywać tych ludzi na późniejsze oskarżenia i proces.*

Odwrócił wzrok od nasilającej się coraz bardziej zamieci na zewnątrz, gdy zorientował się, że szynkarka wciąż stoi przy nim, a jej zielone oczy odbijają tańczące w kominku płomienie.

- Dlaczego tu jesteś? – zapytała bez strachu, który towarzyszył jej wcześniej. Miał wrażenie, że wygląda na zaskakująco poruszoną jego historią.

- Chcę odzyskać to, co zostało mi odebrane. – odparł, naciągając kapelusz tak, by zakrył wyraz jego twarzy. – Wrócę do domu. Odnajdę przyjaciół. Przywrócę Zgromadzeniu świetność.

- Zawędrowałeś tak daleko na południe, by... - jej głos odpłynął na chwilę, gdy domyślała się prawdziwego celu podróży mężczyzny. – Jesteś tu, by znaleźć lek na zarazę. – powiedziała zszokowana.

- To ostatnie, co mi zostało. – kiwnął głową.

Czekał aż kobieta odejdzie, ta jednak usiadła naprzeciwko niego, zbywając oburzone spojrzenia zgromadzonych wokół ludzi.

- Nie kłamiesz? – zapytała podejrzliwie.

- Ja nigdy nie kłamię.

- Dobrze zatem. – westchnęła. – Wiem, jak to jest, gdy zostanie ci odebrane wszystko, co kochasz, nie mając na to wpływu. W takim razie... pomogę ci.

- Słucham? – wyprostował się, z niedowierzaniem patrząc na dziewczynę. Ta jednak nie odwróciła wzroku, gdy szukał w jej oczach fałszu.

- To, co słyszałeś. Czekał na mnie przed karczmą po wschodzie słońca. – powiedziała, nachylając się tak, by nikt postronny nie usłyszał jej słów. – A poza tym... - dodała, podnosząc się powoli z ławy i przerzucając splecione włosy na drugie ramię. – Mam na imię Ingrid.

Odprowadził szynkarkę zszokowanym wzrokiem, gdy za jej uchem zauważył ten sam wytatuowany symbol, który nosił na dłoni od pierwszego dnia w Zgromadzeniu.

*Niech Adimet ma mnie w swojej opiece*, pomyślał uśmiechając się do siebie w osłupieniu.